

# 500 literatur, 500 światów. *Laura*

Krzysztof Hoffmann

## 1.

29 listopada 1935 roku chwycił za ołówek i zanotował nim jedno zdanie w języku, który nie był jego językiem macierzystym, ale w którym zdarzało mu się pisać wiersze. Jedno zdanie po angielsku: *I know not what tomorrow will bring*, nie wiem, co przyniesie jutro. Słowa miały moc prorocтва, kolejny dzień przyniósł mu największą z niewiadomych, granicę poznania – 30 listopada około 20.00 wieczorem zmarł.

Mowa o Fernando Pessoa, który miano jednego z największych pisarzy XX wieku otrzymał 50 lat po owych ostatnich, ołówkowych literach. Do dzisiaj trwa opracowywanie jego spuścizny, większość pozostawił w ineditach w wielkiej, słynnej skrzyni. To zdanie-przesłanie, które współtworzy legendę pisarza (razem z pretensjonalnym „Więcej światła” czy cudownym Tuwimowskim „Dla oszczędności zgaście światło wiekuiste, gdyby miało mi kiedyś zaświecić”), znajduję w kalendarium życia i twórczości Pessoa, które opracował Michał Lipszyc na potrzeby monograficznego numeru „LITERATURY NA ŚWIECIE” (3–4/2013).

Numer to pozycja obowiązkowa dla miłośników Portugalczyka, jednak ma dwie usterki, które usterkami nie są. W stałej rubryce czasopisma (która towarzyszy mu od pierwszego numeru), w nocy o autorach, znajduję następujące sło-

wa: „Po polsku ukazały się: przewodnik *Lisbona. Co turysta powinien zobaczyć* w przekładzie Katarzyny Bieńkowskiej (2001), *Bankier anarchista* w przekładzie Stanisława Krastowicza (2005) oraz garść wierszy w pismach «Ogród», «Poezja», «Dialog» i «LnŚ» [...]”. Choć przywołane już kalendarium szczegółowo odnotowuje momenty czasopiśmiennych publikacji fragmentów *Księgi niepokoju*, uznawanej za dzieło życia Pessoa (dwa fragmenty w roku 1929, kolejne w 1931 i 1932), w nocy biograficznej nie ma ani słowa o tym, że na język polski pierwszego pełnego przekładu w 2007 roku dokonał nie kto inny, jak tłumacz większości tekstów numeru – Michał Lipszyc. Gwoli ścisłości, istnieje jeszcze tłumaczenie częściowe (Janiny Z. Kławe z 1995 r.), ale na tym przykładzie można by uczyć, na czym polega topos skromności.

Ówże topos wiąże się też z drugą usterką, która usterką nie jest. W piśmie nie ma żadnego komentarza, który odnosiłby się do faktu, że numer poświęcony Pessoa w numeracji ciągłej oznaczony jest jako numer 500–501. Pół tysiąca „Literatur na Świecie”! Nawet więcej, ponieważ w roku 1989 pojawił się jeden jedyny poza serią, poświęcony Hrabalowi. Poszczególnych tomów jest mniej, od długiego czasu wydawane są numery podwójne, ale obok faktu pięćsetki nie można przejść obojętnie.

2.

Przecenić rolę „LnŚ” w kształtowaniu współczesnej literatury polskiej, to tak jakby przecenić wpływ chrześcijaństwa na ostatnie dwa tysiące lat historii. Skala inna, wymiar czasowy inny, za porównanie ktoś się pewnie obruszy, ale ani jednego, ani drugiego właściwie nie sposób przeszacować.

Udowodniła mi to historia prywatnego egzemplarza numeru 180. (lipiec 1986), który szerzej jest znany jako kultowy „niebieski numer” – pod taką nazwą można go znaleźć w oddzielnym, całkiem rozbudowanym haśle polskiej Wikipedii (co zapewne jest wystarczająco znaczące). Przybliżając polskiemu czytelnikowi po raz pierwszy nowojorską szkołę poezji, Piotr Sommer pisał wówczas, że układał spis treści z poczuciem ryzyka, ponieważ „o poetach tego kręgu Bogiem a prawdą nie wiemy prawie nic”. Choć nakład wyniósł imponujące 40 tysięcy, dzisiaj numer jest prawie nieosiągalny. Mój egzemplarz przywędrował z Rumunii, w której przyjaciel wygrzebał go sobie tylko znanymi sposobami. Zanim jednak przesłał z wiadomością, że odnalazł Graala w kraju, w którym raczej nikt by go nie szukał, wnikliwie zajrzał do środka. Komentarz utkwił mi w pamięci: „Ja wiem, że to niby ważna sprawa, ale jakoś mnie nic nie porwało. Prawie wszystko z tego już widziałem w latach 90. u polskich poetów”. Przypominam, że numer jest z 1986 roku.

Oddziaływanie nowojorczyków jest dzisiaj tak oczywiste, że krytyka musi je odczarowywać. Na łamach „Twórczości” (1/2010) Marcin Orliński pisał, zapewne słusznie: gdy „mówi się o polskim o’haryzmie lat dziewięćdziesiątych, należy, wg mnie, pamiętać o rozproszonych źródłach tego zjawiska, a więc nie tylko o szkole nowojorskiej [...]”.

3.

Dość niezwykle wygląda spójność czasopisma na przestrzeni lat. Kiedy po kilkunastu numerach zmieniło format na „mały”, ukształtował się jego zasadniczy, zachowany do dziś charakter – to znaczy numerów, które przestały przedstawiać rozproszone głosy ze świata, a postawiły na, słowami Przemysława Czaplińskiego, „**genialne numery monograficzne** poświęcone wielkim pisarzom (np. Proust), myślicielom (Paul de Man, Lacan), literaturze miasta-regionu (Quebec), literaturom poszczególnych państw” (*Powrót centrali*, Kraków 2007, s. 41; wyr. moje – KH). Format pisma raz jeszcze uległ przemianie w roku 1994 – tym razem „LnŚ” zwiększyła wymiary.

Odnotowuję te miernicze informacje jednak z innego powodu – zmiany formatu były odzwierciedleniem rozsad w redakcji. Redaktorem naczelnym pierwszego numeru był Wacław Kubacki. W numerze 10/1972 zastąpił go Wacław Sadkowski, który kierował pismem do początku 1994 roku, gdy naczelnym został Piotr Sommer (w redakcji od roku 1976). Na przestrzeni ponad 40 lat było zaledwie trzech redaktorów naczelnych, z czego pierwszy sześcioletni kierował pismem niewiele ponad rok. Taki stan rzeczy pozwala planować strategię redakcyjną z wieloletnim wyprzedzeniem, dbać o linię pisma i, jak widać, przynosi efekty.

4.

Jednak już w pierwszym numerze, z maja 1971 roku, pojawił się głos, który po lekcji postkolonializmu może się wydawać oczywisty, lecz wówczas – jak przekonuje lektura – musiał walczyć o swoją rację w mnogości kontrpropozycji. Od owej deklaracji „LnŚ” nigdy nie odeszła. W tekście otwierającym, niepodpisanym, lecz wszystko wskazuje na autorstwo Kubackiego, pojawiła się polemika z doniesieniami z Międzynarodo-

wego Kongresu Krytyków Literackich, który odbył się w Barcelonie w 1970 roku. Punktem wyjścia refleksji jest niezgoda na zaproponowane tam pojęcie „literatury uniwersalnej”: „Milczkiem przyjmuję się jako niepodlegający dyskusji pewnik, że z jednej strony istnieje jakaś literatura ogólna, uniwersalna, jako kategoria nadrzędna, oraz idealny wzorzec, a z drugiej literatury pozostałe, mniej ważne, kopciuszki i ubodzy krewni, krótko mówiąc «literatury obce»”.

Tekst Kubackiego to manifest, którego zadaniem było utwierdzenie przekonania o zasadności powołania nowego pisma, ale żarliwość, z jaką to robił, rezonująca z lekka duchem i stylem epoki, jest warta odnotowania. Co więcej, zapewne należałoby przypominać te słowa w momencie, gdy dominacja języka angielskiego w perspektywie międzynarodowej stała się tyleż niezauważalna, co w swej przezroczystości wartościująca. Problem pozostał, przesunięciu uległy pojęcia. Z jednej strony, o czym pisali choćby krytycy amerykańscy, wśród wydawców istnieje przekonanie, że na angielszczyznę można przełożyć wszystko, zawsze i wszędzie; z drugiej, cenne tym samym stają się te dzieła, które poddano translacji.

Oczywiście, sprawa jest bardziej złożona, bez przekładów literatury zagraniczne byłyby dostępne tylko nielicznym (co jest również zasadą istnienia „LnŚ”), ale kluczem staje się rozbijanie pozorów monolitu, dyspersja punktów widzenia. Tekst wieńczą zdania okraszone co prawda odrobiną patosu, lecz dobrze oddające aksjologię pisma: „Dzieła ludzkiego geniuszu są tworamiami narodowymi, lecz należą do całej ludzkości. Wiersze, powieści i dramaty, które mówią o losie człowieka i wywołują głęboki odzew w duszach ludzkich bez względu na szerokość geograficzną, kolor skóry i tradycję kulturalną, stanowią wspólną własność wszystkich narodów. To nie jest literatura uniwersalna. To literatura na świecie”.

5.

W obcowaniu z archiwalnymi numerami „LnŚ” największą radość sprawiają mi ukryte raz bardziej, raz mniej precjoza, które postrzegane z perspektywy lat mogłyby się znaleźć w niejednym gabinecie osobliwości literackich.

Chociażby numer z lipca 1980 roku, w którym Robert Stiller wdawał się w dyskusję z Januszem Korwinem-Mikke na temat tłumaczenia *Alicji w krainie czarów*. Zainteresowani tym, czy Korwin-Mikke słusznie nie poświęcił się traduktologii, lecz obrał znaną z mediów ścieżkę, zechcą sięgnąć pod wskazany adres.

6.

W tym samym roczniku numer z listopada komentował Nagrodę Nobla dla Czesława Miłosza. Pojawiła się wówczas stronicowa informacja, której na stronie sąsiedniej towarzyszyła grafika z portretem autora *Trzech zim*. Niekiedy słów „portret” i „podobizna” można używać synonimicznie, w tym wypadku miałbym jednak opory – jak na moje, bardzo nieudolne w rozpoznawaniu twarzy oko Miłosz jest cokolwiek do siebie niepodobny.

Ciekawsza jest jednak nota. Redakcja oddaje literatowi należną cześć, pisze, że „jest jednym z największych poetów polskich XX wieku. Więcej, jest jednym z największym poetów polskich od czasów romantyzmu”. Jednocześnie pojawiają się słowa, które są świadectwem ciężkich slalomów, w jakich trzeba było się gonić z Głównym Urzędem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk: „Przez wiele ostatnich lat nieraz podejmowano próby przywrócenia poety (i nazwiska) świadomości kulturalnej zwykłego czytelnika. Próby te na ogół zawodziły. Nie miejsce tu, by odpowiadać na pytanie dlaczego tak się działo. A na pytanie to odpowiedzieć trzeba. +

Zapewne, spróbują to nam wyjaśnić periodyki poświęcone tak polskiemu piśmiennictwu, jak i życiu społecznemu. «Literatura na Świecie» ze swej strony zapowiada numer poświęcony Czesławowi Miłoszowi [...]».

Odpowiedź na pytanie, o które się dopominano, stanowi ważny fragment historii współczesnej Polski. Jakkolwiek wiemy, że z owym „przywracaniem poety” nie było (do Nagrody Nobla) tak łatwo, ślad pozostaje. „LnŚ” spełniła swoje obietnice w numerze 6. z roku 1981.

## 7.

Ze spraw bliższych współczesności, lubię sięgać do numeru 1–2 z 2008 roku poświęconego postkolonializmowi. Między innymi z racji tekstu Homiego Bhabhy *Mimikra i ludzie. O dwuznaczności dyskursu kolonialnego*. W 1998 roku Bhabha dostał za jedno zdanie z tego tekstu drugą nagrodę czasopisma „Philosophy and Literature” w konkursie zorganizowanym przez Denisa Duttona, zmarłego trzy lata temu profesora filozofii w Nowej Zelandii. Pierwsze miejsce przypadło wówczas Judith Butler. Konkurs był wyjątkowy – miał wyłonić przykłady najgorszego stylu i najbardziej mętnego piarstwa akademickiego.

O konkursie pisał „The Wall Street Journal” w 1999 roku. Dwa lata później „The New York Times” (z 17.11.2001) nazywał „zamachem stanu” zatrudnienie Bhabhy na stanowisko profesora na Uniwersytecie Harvarda i przytaczał słowa Marjorie Perloff, że teoretyk kultury „nie ma nic do powiedzenia”, oraz Marka Crispina Millera (oboje są profesorami na amerykańskich uniwersytetach), który przyznawał: „Przez większość czasu nie wiem, o czym on mówi”. To pewnie wystarczające rekomendacje, aby choć zerknąć do Bhabhy, zwłaszcza w przekładzie. Tym bardziej że książka, z któ-

rej pochodzi *Mimikra i ludzie*, czyli *Miejsca kultury*; jest dziś uznawana za podręcznik dojrzałego postkolonializmu, a Bhabhę traktuje się jako spadkobiercę w prostej linii Edwarda Saïda.

Tekst tłumaczył Tomasz Dobrogoszcz, wszedł on później do tłumaczenia całości *Miejsca kultury* (wyd. pol. 2010). Wyrwane z kontekstu zdanie, które posłużyło do inkryminowania Bhabhie o obskurantyzmu, w przekładzie brzmi następująco: „Nawet jeśli przez krótką chwilę podstęp pragnienia da się wytłumaczyć potrzebą dyscypliny, to i tak ponowną obecność winy, usprawiedliwiania, teorii pseudonaukowych, przesądów, fałszywych autorytetów i klasyfikacji można szybko zakwalifikować jako desperacką próbę *formalnego* «znormalizowania» zaburzeń dyskursu rozszczepienia, który sprzeciwia się racjonalnym i postępowym twierdzeniom swojej modalności wypowiedziania”. Teraz każdy może sam przyznać własną nagrodę – lub nie.

## 8.

Od razu wyjaśniam, że powyższe słowa nie zawierają ani grama złośliwości. W większym stopniu spowiadał się z własnych słabostek, urzeczeń, fascynacji, których doświadczałem przy lekturze tego lub innego numeru. Chcę się znów chwilę nimi pocieszyć, raz jeszcze je wyciągnąć, przywołać.

Dlatego niniejsze notatki nie są w żadnej mierze historią pisma. Poruszają się opłotkami, frywolnie skaczą od numeru do numeru, pomiędzy marginaliami.

„Literatura na Świecie” doczeka się jeszcze swojego solennego historyka, tego jestem pewien. To jego zadaniem będzie uczciwe opisanie numerów, bez pomijania oddziaływania tych

już przywołanych i tych, nad którymi będzie się trzeba specjalnie pochylić. Wymieniam trzy szczególnie mi bliskie, poświęcone: Jacques'owi Derridzie (11–12/1998), Haroldowi Bloomowi (9–10/2003) i Walterowi Benjaminowi (5–6/2011).

To porządny historyk będzie musiał ustalić, czy nie bez powodu wieść gminna głosi straszne (i pocuczające) opowieści o tym, przez jakie sito przechodzą teksty publikowane w „LnŚ”. Jemu należy zostawić stwierdzenie, że powiedzieć, iż autorzy i tłumacze pracujący dla pisma są gwarancją jego jakości, a pismo swą renomą potwierdza ich wybitność, to (mówiąc Pilchem) nic nie powiedzieć. I że nie ma też w tym nic z błędnego koła. Skupienie i cyzelatorstwo zwyczajnie imponują.

Jemu też zostawić należy sprawdzenie, ile pierwodruków z „LnŚ” ostatecznie przyobiekło się w postać samodzielnych wydań książkowych danych autorów (jak to było w wypadku Bhabhy). Lista będzie długa i pokaże choć część prawdziwego wpływu pisma na kształt polskiej literatury. A przecież jest jeszcze nagroda „LnŚ” przyznawana corocznie w siedmiu kategoriach, o której tu nawet nie wspomniano.

## 9.

Pierwsze numery pojawiały się w liczbie około 15 tysięcy. W latach 70. i 80. normą była sprzedaż ponad 30 tysięcy. „LnŚ” wydawana jest teraz w nakładzie 2900 egzemplarzy, co nadal – niezależnie od faktu, że należy do tak zwanej grupy Pism Patronackich obdarzonych ministerialnym wsparciem – stanowi nie lada wynik i lokuje ją w czołówce pism o literaturze. Zarazem jednak współczesny nakład ukazuje nieodwracalne (przynajmniej w perspektywie najbliższych lat, a nic nie sugeruje, aby te dalsze miały być inne) przemiany rynku i (zanik) praktyk czytelniczych. Czyli temat na inną, ani nową, ani rewelatorską opowieść.

## 10.

Wyobraźmy sobie sytuację, w której zły demon – niechże będzie, że ten, którego Kartezjusz podejrzewał o to, iż nieustannie go zwodzi – sprawiłby, że jedyną lekturą, jaką byśmy dysponowali, byłyby wszystkie numery tylko jednego czasopisma. Gdyby wybór demona padł na „Literaturę na Świecie”, trudno byłoby go (i demona, i wybór) nazwać „złym” w jakikolwiek sposób. Tak naprawdę ten dobroczynny demon i tak już niejednego opętał. ●